



Amerykańska powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył J. R.

6

(Ciąg dalszy).

Sledztwo, podjęte w tej sprawie przez policję, wydało takie rezultaty, że o rzeczywistości tej zagadkowej historii nie można było wątpić. Bill Crooke i nieznanymi towarzysze jego dokonali włamania, ale nie ukradli ani centa. Wiedzieli oni o teczce z gotówką i tylko ją mieli zamiar ukraść; dlaczego nie brali złota ani srebra — nie wiadomo.

Może podczas bezowocnych poszukiwań za milionami usłyszeli jakiś podejrzaną szmer, a może też zastał ich dzień przy robocie, tak, że musieli uciekać, nie myśląc już o zdobyczu; może też wreszcie pozostawienie pieniędzy w kasie było sprytnie obmyślanym podstępem, którego celu na razie nie zdołano poznać?

W każdym razie Bill Crooke nie był człowiekiem, który, zdobywszy milionowy łup, siedziałby w Nowym Jorku; on byłby potrafił ukryć się i uciec gdzieś na zachód, lub na południe, wtedy, kiedy jeszcze policja nie zdołałaby zarządzić środków do schwytania go; a tymczasem Bill siedział sobie najspokojniej w mieście, jakby się nic nigdy nie stało i oddawał się — naturalnie zawsze pod ścisłym dozorem tajnej policji — słodkiemu sportowi beczynności. Bill Crooke znał prawo jak adwokat i znał podstęp policji, tak, jak ona sama; wiedział, żeby go natychmiast aresztowano, gdyby miano przeciw niemu jakie dowody i dlatego uważał za zbyt bezpieczne ukrywanie się.

Jasna rzecz, że wobec tego podejrzenie na firmę Vanderhook, a zwłaszcza na syna szefa, jeszcze się spotęgowało. Kapitan Tomson chciał koniecznie uwieźć Milesa Vanderhooka, ale oparł się temu inspektor Byrnes. Wprawdzie i on był zdania, że włamywacze byli rzeczywiście w porozumieniu z Milesem, wskazywało na to nie tylko opowiadanie Boba Murphy, ale i znaczna liczba innych spostrzeżeń, ale tu znowu zachodziło pytanie, czy mister Zygmunt i szef banku nie wiedzieli o tem wszystkim. Może ta cała historia z włamaniem i rozbiciem kasy była tylko nadzwyczaj sprytnym humbugiem, mającym na celu przygotować publiczność na zwinienie banku, którego może wkrótce należało oczekiwać. Nawet Bob Murphy, chociaż uchodził za niepodważalnego, był przez policję pilnie obserwowany. Sam inspektor przesłuchiwał go raz jeszcze, ale porównawszy przesłuchanie z pierwszym jego zeznaniem, nie znalazł ani cienia sprzeczności. Sińce, które miał jeszcze do dziś dnia, świadczyły najwymowniej o jego niewinności. Mimo to kapitan Tomson powierzył jednemu z detektywów pieczę nad nim. Obserwacya Boba Murphy pozostała jednak bez rezultatu. Z raportów detektywa, który go pilnował, jeden tylko zasługiwał na uwagę, a mianowicie, że Murphy pierwszego i drugiego wieczora po włamaniu blisko

przez godzinę romansował pod bramą z nowozaangażowaną do banku pisarką na maszynie, sekretarką młodego Vanderhooka. Urzędnicy policyjni, widocznie przekonani, że chodzi tu o zwykłą miłość stróża i młodej dziewczyny, przeszli nad tym raportem do porządku. A nie trzeba zapominać, że wskazówki tajemniczego „detektywa P.“ znanego z nazwiska wszystkim, ale osobiście nikomu prawie, z wyjątkiem najwyższych urzędników, miały wielki wpływ na postanowienia komisarzy policyjnych. Detektyw P. odgrywał w tej sprawie — jak się zdawało — znaczną rolę — jakiego jednak rodzaju były jego przedsięwzięcia, zmierzające do wyświeatlenia tajemnicy, jaką mu przeznaczono rolę i gdzie on przebywał, czy między złodziejami, czy też w biurze Vanderhooka, o tem wiedzieli jedynie inspektor, kapitan Tomson i kilku powierników.

Bill Crooke, słynny rozbijacz kas, przebywał rzeczywiście jeszcze w mieście. Dziś nawet, na trzeci dzień po włamaniu, siedział sobie swobodnie w restauracji „p d blas anka“ przy małym stolczku, zwanym „pauwau“ i zabawiał się ze swoimi towarzyszami, osławionym Toddem, którego czyny zapisane są złotymi głoskami na kartach dziejów sztuki złodziejskiej i również osławionym Grabberem, niedoścignionym specjalistą w kradzieżach kieszonek. Bill Crooke się nie zmienił. Wyglądał tylko może jeszcze chudszy, jak poprzednio. Posępny wzrokiem spoglądał na pustą szklankę, stojącą przed nim na stole, spluwał co chwila na podłogę, lub szarpał niecierpliwie swoją długą brodę.

— Zdarzyło mi się już nie jedno, przyjaciele — rzekł i podniósł lewą rękę, u której brakowało małego palca, do góry — już niejednej paskudnej rzeczy byłem świadkiem, ale coś podobnego jeszcze mnie nie spotkało w czasie całej mojej wspaniałej drogi życia. Gdybym wam opowiedział historię tego palca, którego już nie mam, ba, tobyście ze zdumienia wyskoczyli ze swoich błogosławionych skór. Ja sam go sobie nożem odciałem, na świętego Grzegorza, ja to uczyniłem, kiedy przez nieostrożność Dan Liona złapałem się w zamek bezpieczeństwa. Haha! Dan Lion! To był kolega, zażarty pies, a zacy kompan! Niech go dyabli mają w swej opiece — zabiło go więzienie. Przez trzy lata siedział w Albany w więzieniu i myślał o ucieczce, potem zachorował i poszedł gryźć trawę, jak pies przed burzą. Dziś już jest na tamtym świecie, a ja nazywam siebie największym włamywaczem w Stanach Zjednoczonych, bo dopóki on żył — on był większy odemnie. A był to nie tylko jedyny rozbijacz kas, ale także finansista, umiejący zawsze zaoszczędzić parę dolarów. Widzicie, za ten palec, który straciłem z jego winy, zapłacił mi trzy tysiące dolarów.

Bill Crooke przerwał i począł szybko mrugać powiekami, poczem ozwał się stróskanym głosem: — Nie zdołał temu przeszkodzić, chłopcy, ale

jeśli wyteżycie swoje maszyny wzrokowe, zobaczcie wilgoć w moim lewym oku. Uważam to za znak, że pamięć wielkiego Dan Liona należy uświetnić, uczcić kieliszkiem whisky. Jak się uspokoję, pojedziemy dalej.

Grabber wybuchnął szyderczym śmiechem, zaczął przynieść butelkę whisky i nalał do kieliszków.

— Niech cię kaci, Crookey — mruknął — ty musisz mieć pompę zamiast żołądka w swoim mizernym kadłubie. Ale teraz pij i dalej — musimy przecie skończyć.

Pierwszy włamywacz w Stanach Zjednoczonych udał, że tej uwagi nie słyszy.

Podniósł szklankę, tracił się z kolegami, głowa mu opadła.

— Dan Lion umarł, Jim Humphrey mruczy, a Bill Crookey jest znowu w pułapce — rzekł uroczyście — ale wszyscy inni to nędzne gałgany, łajdaki, oszuści, bydło, osły, świny, szpicle policyjne, tchórze, ścierva sakramenckie i psie łotry! Uderzenie pięścią w stół przerwało tę mowę.

— Czy ty raz skończysz?! — krzyknął Todd. Bill Crookey spojrzał z pogardą na niego i kiwnął głową.

— Nie zapalajcie się. Nie biorę w rachubę tych, co ze mną siedzą. A teraz — napijmy się! Piję zdrowie Dan Liona! Bogu dzięki, że umarł.

Śmiejąc się, wypróżnili szklanki i postavili je na stole.

— Teraz więc — rzekł Grabber, spoglądając na zegar — Bill Crookey, kończ, nie zapominaj, że nas nie mogą widzieć razem z tobą.

— All right — odparł Bill — teraz, kiedy moje gardło wśród pewnych ceremonii zostało należycie zwilżone, możemy dalej wieść rozmowę. Mówię więc, że nas szkaradnie oszukano. Jaki? Wykonać z taką precyzją włamanie i potem biedować?! Oszukano nas skandalicznie i tylko zachodzi pytanie, kto nas tak urządził? Lone Jack, czy Miles Vanderhook?

Obydwaj współsiedzący zaprzeczyli energicznym ruchem głowy.

— Dajcie pokój Jackowi — ozwał się długi Grabber — to jest człowiek all right. Podsześć nas kto inny, to znaczy Miles Vanderhook.

— Ja też tak sądzę — ciągnął Bill — ten chłopak ma piekielne szczęście. Ale dlaczego go nie aresztowano? To właśnie chciałem wam...

— Ba! A dlaczego ciebie nie aresztowano? — wtrącił Todd.

— Mnie? — zaśmiał się Bill. — Pocieszcie się, ja tak czy tak jestem prawie za kratą. Nie zrobię kroku, żeby policja o nim nie wiedziała. Tajni agenci z przodu i tajni agenci z tyłu. Ot, siedzimy tu teraz we trójkę. Czy myślicie, że nas nie obserwują? Bo też dlaczego mieliby mnie aresztować? Wiedzą przecie, że nie ukradłem ani grosza, a wiedzą również, że do włamania się nie przyznam. Gdzie dowody? Musieliby mnie puścić, rozumiecie?!...